

IDA ŻMIEJEWSKA

WARSZAWIANKA
Gdy zgasną światła

IDA ŻMIJEWSKA

WARSZAWIANKA
Gdy zgasną światła



Dla Ani „Bel” Głuszek

WARSZAWA 1887

ROZDZIAŁ I

1.

Słońce z trudem przebijało się przez firanki, a przeciąg idący od uchylonych lufcików sprawiał, że firanki lekko falowały. W powietrzu unosiła się woń octu i świeżej pasty do podłóg. Leontyna Rapacka z zadowoleniem rozejrzała się po lśniącej czystości pokoju. Nie był, co prawda, tak reprezentacyjny jak salon w dawnym mieszkaniu, ale przypominał jej wnętrza, w których spędziła dzieciństwo. Zresztą nie potrzebowały teraz większego lokum: zostały we trzy i bez trudu mogły pomieścić się w czterech pokojach.

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk dzwonka i odgłos pospiesznych kroków Pelagii. Usłyszała skrzypnięcie drzwi wejściowych i ożywiony głos ciotki. Zerwała się z fotela dokładnie w chwili, kiedy Rozalia Reuttowa, jak zwykle piękna, pachnąca i wystrojona według najnowszej paryskiej mody, przekraczała próg salonu.

– Moja droga – powiedziała i czule objęła siostrzenicę – przepraszam, że przychodzę dopiero dzisiaj, ale Nelia cały tydzień chorowała. Na szczęście już z nią lepiej... Tak się cieszę, że wróciłyście. Co z Helenką? Jak mama?

– Mama poszła do kościoła – odparła Leontyna, odwzajemniając uścisk. – Hela odpoczywa.

– Jak się czuje?

Młodsza panna Rapacka, która widziała śmierć brata, przypłaciła tę tragedię chorobą. Na tyle poważną, że lekarze zaczęli obawiać się suchot, więc pani Amelia niedługo po pogrzebie wywiozła córki za granicę.

– Prawie doszła do siebie. – Leontyna nie potrafiła zliczyć bezsennych godzin spędzonych przy łóżku siostry.

– Dobrze. – Ciotka odetchnęła z ulgą i wreszcie wypuściła ją z objęć. – Martwiłam się o nią. Wciąż zastanawiam się, jak...

– Ciociu, nie mówmy o tym, proszę... – Poczula dławienie w gardle, nie chciała wracać do wydarzeń z przeszłości, więc szybko zmieniła temat: – Co się działo, kiedy nas nie było?

– O tym, że umarła starsza pani Burzyńska, już wam pisałam. Ksawery szczerze żałuje matki, ale Oktawia chyba odetchnęła z ulgą.

Pani Wirydianna Burzyńska, skądinąd urocza dama starej daty, która nawet po osiemdziesiątce zaskakiwała doskonałą pamięcią i ostrym językiem – a miała o czym opowiadać! – była jedyną osobą potrafiącą skutecznie poskromić ciotkę Oktawię, nic dziwnego, że synowa bała się jej niczym diabeł święconej wody.

– Pojutrze u Świętego Aleksandra jest msza za duszę zmarłej. O piątej po południu. Przyjdziecie?

– Oczywiście.

– Januszowa pewnie się nie pojawi – kontynuowała Rozalia. – Spodziewa się dziecka. Rozwiązanie za kilka tygodni.

Kuzyn, kiedy wreszcie przyjął do wiadomości rekuzę od Leontyny, posłuchał sugestii rodziców i ożenił się z panną Felicją Wyrzykowską, córką jednego z kontrahentów ojca.

– Wyobraź sobie, że Janusz uspokoił się po ślubie. Aż dziw bierze, kiedy się na niego patrzy. Jakby ktoś go podmienił.

– Ciekawe, czy będzie chłopiec, czy dziewczynka? – zastanawiała się głośno Leontyna, której nie interesowało zachowanie dawnego wielbiciela.

– Oktawia liczy na wnuczkę, zawsze mawiała, że z dziewczynkami jest mniej problemów niż z chłopcami.

– Może i łatwiej je wychować – zaczęła cicho – ale każdy skandal wpływa na ich reputację.

– Wasz skandal prawie uciął – zapewniła ją pospiesznie Rozalia. – Wkrótce będziecie mogły pokazać się w towarzystwie.

Zgadzała się z opinią ciotki, wiedziała bowiem, że dwa lata to wystarczająco długi czas, aby ludziom znudziła się każda afera. Nie miała jednak wątpliwości, że wszystkie trzy bezpowrotnie straciły wstęp na najbardziej szanowane salony w mieście.

Na samą myśl o szeptach i ukradkowych spojrzeniach, które będą musiały znieść, panna wzdrygnęła się z niechęcią i kolejny raz zadała sobie pytanie, czy powrót do Warszawy naprawdę był dobrym pomysłem?

– Nie martw się na zapas – pocieszyła ją ciotka. – Miasto od dawna żyje czymś innym. Mamy kilka nowych awantur, przy których śmierć w domu uciech, a nawet samobójstwo to drobiazgi.

– Jakich?

– Ciągłe mówi się o marcowej próbie zamachu na cara. Podobno w przygotowaniach brali udział jacyś Polacy, z Wilna. Zatrzymano kilkadziesiąt osób. Za kilka dni rusza proces przywódców.

Szwajcarskie i francuskie gazety szczegółowo opisywały sprawę, panna Rapacka wiedziała więc doskonale, że

dokładnie w szóstą rocznicę zabójstwa Aleksandra II spiskowcy próbowali zgładzić także jego syna, tyle że przez niefrasobliwość jednego z nich agenci ochrony udaremniili atak.

– A z miejscowych wieści – kontynuowała Rozalia – imaginuj sobie, moja droga, dwa tygodnie temu doktor Koprowicz przyłapał żonę in flagranti z własnym siostrzeńcem. Zastrzelili oboje na miejscu.

– O matko! – Leontyna uniosła ręce do piersi.

– Albo coś innego... Pamiętasz Woronina? Tego policjanta, który prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa twojego ojca?

– Myślałam, że wrócił do Petersburga – powiedziała, a w jej głosie musiała pojawić się jakaś niepokojąca nuta, bo Rozalia przyjrzała się jej uważniej. Niewykluczone, że przypomniała sobie o swych dawnych podejrzeniach, jakoby Leontyna ośmieliła się darzyć tego Moskala uczuciem.

– Nie wrócił – oznajmiła ciotka. – Siedzi w areszcie w Ratuszu.

– Co takiego?! Z jakiego powodu?

– Nie znam szczegółów. – Ciotka wzruszyła ramionami. – Ale w gazetach piszą, że zamordował swoją kochankę.

2.

– Jak ktoś łeb jej ukreślił, znaczy, zasłużyła – powiedział szczerbaty Sieńka Gusiew, podając mu obiad. – Żał tylko, że przez błąd jedną, wy na Sybir pójdziecie.

Aleksander nie zamierzał wdawać się w dyskusję ze strażnikiem ani niczego mu tłumaczyć, więc tylko kiwnął głową w podziękowaniu. Nie czuł głodu, ale kierowany resztką

rozsądku sięgnął po łyżkę. Kasza miała paskudny smak – była niedosolona i zalatywała spalenizną.

Z trudem przełknął kęs i odsunął miskę. Po raz tysięczny rozejrzył się po ciasnej celi, która była brudniejsza niż najbardziej obskurna piwnica w składach ojca. Woronin pomyślał, że nie wytrzyma w tym miejscu – złość, wyrzuty sumienia i beczynność szybko doprowadzą go do szaleństwa. Nikita Andriejewicz, kiedy widzieli się po raz ostatni, przepowiedział mu, że skończy marnie sam jak palec. Musiał przyznać, że w swej lekkomyślności i głupocie zrobił wszystko, aby ojcowskie proroctwo spełniło się co do joty.

Wbił wzrok w wyszczerbioną cegłę tuż pod oknem: ktoś musiał obtłuc ją całkiem niedawno, bo plama żywej czerwieni wyraźnie odcinała się od reszty przykurzonego muru.

Gdyby został w Petersburgu, jego życie zapewne ułożyłoby się lepiej. W Warszawie od samego początku przesładował go pech, zaś sprawa śmierci mecenasa Rapackiego, ojca Leontyny, ciążyła mu niczym fatum. A przecież myślał, że zdoła zachować nad nią kontrolę. Przeliczył się jednak.

Pierwsze warszawskie śledztwo musiał oficjalnie uznać za porażkę. Szef urzędu śledczego, radca dworu Korolew, nie krył niezadowolenia i kazał mu, prawie na rok, zapomnieć o poważnych sprawach. Dopiero rozbitcie gangu złodziei koni na Woli sprawiło, że wrócił do łask. Nawet Mironow zgodził się znowu z nim pracować – poprowadzili wspólnie dwa śledztwa, podczas których Aleksander starał się zachowywać bez zarzutu.

Wszystkie służbowe perturbacje były jednak niczym w porównaniu z kłopotami osobistymi – wiedział, że bezpowrotnie stracił Leontynę. W dużym stopniu na własne życzenie. Panie Rapackie miały poważne przejścia

z żandarmerią. A on, choć martwił się o ukochaną, nie śmiał zbliżyć się do niej, aby nie pogarszać sprawy i nie budzić podejrzeń. Czekał, aż wrzawa ucichnie i będzie mógł, przynajmniej częściowo, wytłumaczyć się z fiaska śledztwa. Zanim jednak się spostrzegł, pani Amelia zdążyła wywieźć córki z Warszawy.

Na dodatek Jerzy Szuster wyjechał do Dorpatu; Aleksander nie przypuszczał, że będzie mu tak brakowało współpracownika. Przez kilka tygodni wydawało się, że opuści go także Michaił: stary graf Kaługin robił wszystko, aby ukochany wnuk powrócił do Moskwy. Starania spaliły jednak na panewce, ponieważ młody adwersarz porucznika, który po pojedynku nie wrócił do zdrowia, zmarł nieoczekiwanie. Dziadek i matka uznali więc, że Miszka nie powinien pchać się przed oczy zrozpaczonemu wujowi chłopaka, a nuż księżę postanowiłby wyrównać rachunki. Kaługin musiał więc pogodzić się z tym, że jego pobyt w Warszawie przedłuży się na czas nieokreślony.

Mimo obecności przyjaciela samotność dawała się Aleksandrowi we znaki. Niektórzy radzili mu, aby się ożenił, choćby z jedną z córek sędziego Mironowa – panna Ludmiła spoglądała na niego z zainteresowaniem. Woronin jednak był zbyt uczciwy, aby wciągać dobrą dziewczynę w związek z góry skazany na nieszczęście. Starał się zapamiętać o Leontynie, ale ku swemu utrapieniu nie potrafił. Czas mijał, a tęsknota zamiast maleć, rosła.

Na szczęście jego kochanka, Sonia, nie oczekiwała miłości. Oczywiście mogła znaleźć sobie kogoś bogatszego i bardziej wpływowego, ale z jakiegoś powodu wybrała jego. Nie zasłużyła na koniec, jaki ją spotkał. Aleksander wzdrygnął się na wspomnienie wydarzeń sprzed prawie tygodnia.

Gdzieś z dolnego piętra dobiegły go wrzaski i ordynarne polskie przekleństwa: w którejś z wieloosobowych cel wybuchła awantura. Trwała krótko, bo nagle szcękniętą zamiek pospiesznie otwieranych odrzwi i Aleksander usłyszał tubalny głos Sieńki, który nie szczędził więźniom ani wyzwisk, ani razów.

On nie miał z kim się pokłócić, ponieważ po aresztowaniu umieszczono go w pojedynczej celi. Zawsze starał się uprzejmie traktować współpracowników, bez względu na ich stanowisko, więc naczelnik i dozorczy, którzy jakoś nie chcieli uwierzyć w jego winę, postanowili zrewanżować mu się właśnie w ten sposób. Było to ważne o tyle, że spotkanie z którymś ze znajomych oprychów mogłoby skończyć się dla niego tragicznie.

Sam uważał, że to zbyt uczynna ostrożność. W końcu wszystko jedno, co się stanie. Jeśli nie zabiją go w więzieniu, i tak zgnije na katordze.

Czasem jednak chwytala go rozpacz. Przychodziło mu do głowy, że może jego życie nie skończyło się jeszcze i czuł pokusę, aby się ratować.

Tłumił ją w zarodku.

3.

– Dokądś się wybierasz? – Matka spojrzała podejrzliwie na Leontynę znad filiżanki kawy.

– Mam spotkanie z mecenasem Paszkiewiczem. Trzeba uregulować kwestie urzędowe. – Dziewczyna nie miała ochoty wdawać się w szczegóły, a rodzicielka na szczęście więcej nie dopytywała. W ostatnim czasie wiele zmieniło się w ich życiu: to starsza panna Rapacka została głową rodziny i radziła sobie w tej roli na tyle dobrze, że nikt nie kwestionował jej decyzji, także finansowych.

– Pamiętasz, że idziemy na herbatę do Oktawii?
– Oczywiście. Na pewno wrócę przed obiadem.
– Mogłabym pojechać z tobą? – zapytała Helena, która do tej pory w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie. – Proszę.

Leontyna spojrzała na bladą, szczupłą siostrę i zaważała się: po długiej podróży koleją oraz zamieszaniu związanym z przeprowadzką dziewczyna powinna odpoczywać.

– Lekarz powiedział, że masz na siebie uważać – stwierdziła matka, która najwyraźniej była tego samego zdania. – Zdążysz nachodzić się po mieście. I zjedz coś wreszcie – dodała z przyganą, bo z talerza młodszej córki prawie nic nie ubyło.

– Ileż można odpoczywać, proszę mamy? – Helena wbiła w rodzicielkę błagalny wzrok. – Poza tym... muszę interesować się sprawami rodziny, Tenia ma za dużo na głowie.

Powrót do Warszawy był chyba dobrą decyzją: chora, pierwszy raz od wielu miesięcy, wyraźnie sobie czegoś zażyła. Do tej pory zachowywała się tak, jakby nie zauważała otaczającego ją świata, a wszystkie życiowe czynności wykonywała bezwiednie.

– Tenia sobie poradzi – fuknęła matka, ale jej wzrok nieco złagodniał. – Ty nie powinnaś nawet myśleć o takich sprawach.

– Może mały spacer nie zaszkodzi? – Leontyna, ucieszona nagłymżywieniem siostry, puściła mimo uszu uwagę matki. – Zwłaszcza że pogoda taka piękna.

– Dobrze, idźcie obie – westchnęła pani Amelia. – Tylko zabierzecie Pelagię.

– Proszę mamy, mam dwadzieścia cztery lata.

– Doprawdy nie masz czym się chwalić.

– Mam dwadzieścia cztery lata – powtórzyła Leontyna. –

Jestem już w odpowiednim wieku, aby zaopiekować się siostrą. Hela, masz być zaraz gotowa, inaczej nigdzie nie jedziesz!

Nie minął nawet kwadrans, gdy obie panny Rapackie, osłonięte kapeluszami i parasolkami, wyszły z domu i zajęły miejsca w dorożce sprowadzonej przez pokojówkę.

Majowy dzień był wyjątkowo ciepły. Słabe porywy wiatru przynosiły ze sobą znajome i niezbyt przyjemne wonie miasta: na szczęście nie było jeszcze upałów, więc dało się swobodnie oddychać.

Leontyna popatrzyła na imponujące kamienice, które w ciągu ostatnich lat wyrosły przy Marszałkowskiej i uświadomiła sobie, że ogromnie stęskniła się za Warszawą. Dobrze, że wróciły. I tak kiedyś musiały zmierzyć się z przeszłością.

Fiaker skręcił w Świętokrzyską, a po kilku minutach wyjechała na Krakowskie Przedmieście tętniące swym zwykłym nerwowym rytmem. Eleganckie damy przechadzały się w towarzystwie dżentelmenów, pensjonarki spieszyły do szkoły pod opieką pokojówek. Dorożki i tramwaje wiozły ludzi zajętych swoimi sprawami. Wszystko było tak rozczulająco znajome – Leontyna nie miała wątpliwości, że znowu znalazła się w domu.

Wjechali w Senatorską, a potem w Miodową i wreszcie zatrzymali się nieopodal sądu, przed bramą kamienicy, w której mieściła się kancelaria mecenasa Paszkiewicza. Leontyna zapłaciła woźnicy i pomogła siostrze wysiąść z pojazdu.

– Nieźle mu się powodzi. – Helena poprawiła kapelusz i uważnie przyjrzała się ozdobnej bramie budynku.

– Jest wziętym adwokatem – odparła. – Ojciec chyba sporo go nauczył.